

„Głębokie państwo” wychodzi z cienia

16 lutego 2024

Wielu komentatorów obserwując przyspieszający na naszych oczach rozkład polskiego państwa, ocenia nasze życie polityczne i system władzy jako domenę dwóch stronnictw wywodzących się z ruchu Solidarności.

W tej narracji wynikającej z rozczarowania, czasem z goryczy, czasem z nostalgii lub myślenia na złość zapomina się często, kto był reżyserem okrągłego stołu i jakie dwie strony przy nim siedziały; a były to strona dawnego obozu władzy i strona solidarnościowa. Ale to nie jedyny brak takiego opisu rzeczywistości. Jego autorzy niejako automatycznie władzę w dzisiejszym świecie Zachodu, a więc i w Polsce utożsamiają z parlamentem i rządem. Towarzyszy temu powtarzające się zdziwienie, że choć tak rozumiana władza po kolejnych wyborach się zmieniła, to zasadnicze kierunki polityki są takie same.

Jednocześnie pisze się już sporo o tak zwanym głębokim państwie, ale poza „Starymi Kiejkutami” Stanisława Michalkiewicza, rzadko używa się tego terminu, czy jego odpowiednika w odniesieniu do Polski. Czy to oznacza, że głębokiego państwa w Polsce nie ma, czy może jest lepiej ukryte? A może nie działa ono w interesie państwa albo działa w interesie państw innych? Takie rozważania zawsze mogą być zbywane oskarżeniami o „teorie spiskowe”, o doszukiwanie się wszędzie działania łóż, Żydów i tajnych stowarzyszeń. Ciągłe rozczarowania po kolejnych wyborach, wrażenie równie powtarzalnego rozmijania się działań organów państwa i parlamentu z oczekiwaniami większości patriotycznego elektoratu, powinny jednak wywoływać co najmniej podejrzenie, że tak zwane rządy „solidaruchów” podzielonych od roku 2005 na dwa zwalczające się plemiona, są w większości atrapą, która ma zająć umysły i zagospodarować emocje nie tylko mas, ale i

komentatorów polskiego życia politycznego. Zainteresowanie peregrynacjami figur w rodzaju Panów Wąsika i Kamińskiego są tego tragikomicznym przykładem. Trzeba zresztą pamiętać, że większość „solidaruchów” jest już na emeryturze, a wielu wartościowych ludzi z pewnością przewraca się w grobach, kiedy słyszy, że są łączeni z osobami pokroju Sławomira Nitrasa czy Izabeli Leszczyny.

Banki

Patrząc z perspektywy byłego uczestnika ruchu Solidarności mam wrażenie, że to strona ówczesnej władzy, choć z nazwy socjalistyczna, już wtedy lepiej rozumiała świat i to ten kapitalistyczny. Rezerwując dla siebie w Magdalence banki, wykazała swoją intelektualną wyższość nad stroną solidarnościową, której ówczesne myślenie o gospodarce było zdominowane przez poglądy spod znaku Janusza Korwin Mikkego (JKM) czy Mirosława Dzielskiego – chodziłem na jego wykłady do krakowskich Dominikanów – co za tłumy, a wszystko było proste i logiczne, niczym w układankach JKM. O Rzeczpospolitej Samorządnej z czasów pierwszej Solidarności, w drugiej połowie lat 1980 już na ogół nie pamiętano i wykładów nie prowadzono. I banki rzeczywiście zostały przy ludziach starej władzy i starych służb. Alternatywą miały być jedynie SKOKi i to na zapowiedź ich utworzenia przy okrągłym stole z takim oburzeniem zareagował mający piastować najwyższy urząd państwowy, jeden z polityków przyszłej nowej „lewicowej” elity.

Media

Po bankach przyszła kolej na następny filar rzeczywistej władzy jakim w realnym kapitalizmie obecnych czasów są media. Niezwykle symptomatyczna jest w tym kontekście historia krakowskiego Czasu – gazety stworzonej oddolnie przez dziennikarzy byłego solidarnościowego podziemia. Świetnie się

sprzedawała, ale reklamy i drobne ogłoszenia (kto pamięta te urocze teksty w dawnych gazetach) dawali do niej tylko mali i średni przedsiębiorcy oraz osoby prywatne. W tym czasie banki i zagraniczne korporacje wykupywały w konkurencyjnych gazetach całe strony i Czas po kilku latach walki musiał zniknąć z rynku. Nie udało się też stworzyć znaczących solidarnościowych stacji telewizyjnych – znamienne są losy telewizji Wisła przejętej przez TVN. Tam zaczynał karierę jeden, o ile nie jedyny przyzwoity ważniejszy dziennikarz dzisiejszego głównego nurtu – Bogdan Rymanowski. W rezultacie dwie główne stacje telewizyjne TVN i Polsat związane z dawnymi służbami zdominowały rynek telewizji, a Gazeta Wyborcza, springerowski Fakt, postkomunistyczne Polityka i Wprost, a potem Newsweek podzieliły między siebie rynek ogólnopolskiej prasy papierowej. Prasę lokalną przejęli natomiast wydawcy niemieccy. To nie „solidaruchy” nimi kierowały i decydowały o tym, czym żyła polska opinia publiczna.

To media decydowały w dużej mierze o tabloidyzacji polskiej świadomości, o schamieniu i zapaści cywilizacyjnej, to one ferowały wyroki cywilnej śmierci i politycznej popularności. O skali tego medialnego panowania nad umysłami świadczy najlepiej fakt, że dwie największe afery w historii 3 RP jakimi było rozpłynięcie się w niebycie ponad 500 przedsiębiorstw zarządzanych przez Narodowe Fundusze Inwestycyjne (za przeprowadzenie tej operacji zarządzający pobrali około pół miliarda złotych, obywatele otrzymali kilkadziesiąt) i utworzenie OFE praktycznie nie istnieją w polskiej świadomości, a część Polaków nadal żyje w przekonaniu, że minister Rostowski ratując budżet, ale niejako przy okazji i emerytury „zabrał im ich pieniądze”. Dominacja tych samych sił ma miejsce w mediach internetowych, choć Onet był tworzony przez Romana Kluskę. Jego los także pokazuje, że takie oddolne sukcesy komuś bardzo przeszkadzały. Jedynym wyłomem w medialnym monolicie były co pewien czas media publiczne. Niestety, ostatnie kompromitujące rządy jednego z braci Kurskich zupełnie przyćmiły ich lepsze strony, czy

choćby wartościową działalność TVP Kultura i TVP Historia. Siła oddziaływania mediów katolickich także nie była porównywalna z prywatnymi gigantami.

Służby

Trzecim obok banków i mediów filarem głębokiego państwa są szeroko rozumiane tajne służby. Także tutaj „solidaruchom” nigdy nie udało się ich w decydującym stopniu przejąć. W grudniu 2022 r. w tygodniku „Przegląd” ukazał się obszerny reportaż pod tytułem „Polska szkoła szpiegów”. Był to artykuł jubileuszowy, gdyż od założenia szkoły mijało właśnie 50 lat. Czytamy w nim: „Pierwszy rocznik Kiejkut dał III RP kadre kluczowych oficerów. Z rocznika wywodzą się szef UOP, szef i zastępca szefa wywiadu ds. Operacyjnych, kilkunastu naczelników wydziałów oraz komendant Ośrodka Kształcenia Kadr Wywiadu.” Z kolei cytowany absolwent i prymus pierwszego rocznika szkoły Gromosław Czempiński w tym samym materiale wspomina rok 1990: „Kierownictwo MSW i UOP chciało, żeby szkoła powstała na nowo. Zaproszono oficerów CIA i MI6, żeby obejrzelі ośrodek i programy nauczania i powiedzieli, co trzeba poprawić, co trzeba zrobić, żeby szkoła spełniała warunki Zachodu. I jedna i druga służba przyglądała się, każda ze trzy miesiące, i ich wnioski były identyczne; niczego nie dotykać, niczego nie zmieniać, zostawić tak, jak jest”.

Dalej czytamy: „Tak samo zresztą Amerykanie zareagowali na pytania dotyczące Departamentu I (wywiadu – przyp. O.S.) – zostawić, jak jest.” Z ramienia Solidarności ważną funkcję w ówczesnym UOP pełnił także Bartłomiej Sienkiewicz. Jeszcze bardziej szokująca jest w kontekście służb niedoceniona w polskim narodzie politycznym książka amerykańskiego dziennikarza Johna Pomfreta „Pozdrowienia z Warszawy”. Jej najważniejszą i przekonująco udokumentowaną tezą jest, że to postkomunistyczne służby były tą siłą, która najbardziej parła do bezwarunkowego poddania Polski Amerykanom. Dobrze podsumowuje to następujący fragment: „Pierwszy premier wolnej

Polski Tadeusz Mazowiecki wyobrażał sobie jakiś mini sojusz państw Europy środkowej. Inni intelektualiści rozważali perspektywę obrania przez Polskę „trzeciej drogi”, gdzieś między Rosją a Stanami Zjednoczonymi. Tymczasem pracujący w Zarządzie Wywiadu byli komuniści: Czempiński, Jasik i Derlatka, uważali, że jedyną drogą jest sojusz ze Stanami Zjednoczonymi osiągnięty za pośrednictwem członkostwa w NATO (...) Byli pozbawionymi większych złudzeń pragmatykami wyćwiczonymi w polityce siły.”

Kolejne fakty przytaczane przez Amerykanina: pomoc w agresji na Irak, porwanie jednego z serbskich dowódców, zdrada dotychczasowych partnerów na całym świecie na rzecz Amerykanów, haniebna zgoda na katownię CIA w Kiejkutach w zamian za walizki z dolarami, czy wreszcie samo przystąpienie do NATO pod warunkiem apoteozy Ryszarda Kuklińskiego, to jeden ciąg pokazujący jak bardzo ludzie dawnych komunistycznych służb byli pozbawieni nie tylko myśli o tym, że Polska mogła by być krajem suwerennym, ale także wyzbyci choćby cienia narodowej dumy i politycznego realizmu. CIA wywierała zresztą na polskie władze stały nacisk, żeby oficerów dawnych służb nie krzywdzić, doceniając prawdopodobnie fakt, że ich komunistyczna przeszłość jest najlepszym gwarantem poddaństwa nowym panom. W tym kontekście warto przypomnieć, że jedynymi posłami, którzy sprzeciwili się wstąpieniu Polski do NATO nie byli posłowie postkomunistycznej lewicy, ale deputowani związani z orientacją katolicko – narodową z Janem Łopuszańskim na czele. Ten ostatni także wobec wojny na Ukrainie w wywiadzie udzielonym niedawno radiu Wnet zajął stanowisko zgodne z polskim interesem narodowym.

Wymiar sprawiedliwości

Poza bankami, mediami i służbami jest jeszcze czwarty, często niedoceniany, choć podręcznikowy element władzy – wymiar sprawiedliwości. W tej dziedzinie zawsze przypominać trzeba będące kwintesencją tego co się stało, a raczej nie stało,

słowa pierwszego prezesa Sądu Najwyższego III RP Adama Strzembosza, wedle których „środowisko sędziowskie samo się oczyści”. W rezultacie z zawodu usunięto 1 (słownie; jedną) osobę. A dynastie i rodziny polskich sędziów, adwokatów i prokuratorów mają często długie, sięgające lat 1950 rodowody. A przecież sędziów w Polsce jest prawie 10 tysięcy, a ich pozycja jest często o wiele mocniejsza niż 460 szamoczących się w walce o kolejne kadencje posłów i ministrów.

Menedżerowie, ludzie nauki, kadry kierownicze

Witold Kieżun w swojej fundamentalnej pracy „Patologia transformacji” pokazał, że w czasie katastrofalnej w skutkach działalności Leszka Balcerowicza wielu jeśli nie większość polskich fachowców i uczonych ekonomistów krytykowało sposób w jaki Balcerowicz niszczył polską gospodarkę i polskie społeczeństwo. Jednak media, finansujące je banki i uwłaszczająca się na narodowym majątku warstwa menedżerów popierała działania partyjnego adiunkta i podobnie jak w niedawnych czasach „pandemii”, każdy kto był przeciw i wołał, że król jest nagi, a katastrojka nie zachwyca, miał przypinaną etykietkę szura i foliarza anno 1990. Kieżun dużo miejsca poświęcił w tym kontekście pracom prof. Krystyny Daszkiewicz, która pokazywała ogrom demoralizacji warstw kierowniczych, do jakiego doszło w epoce Edwarda Gierka. To wtedy wprost proporcjonalnie do upadku wiary w socjalizm przybywały kolejne miliony członków PZPR, a głównym motywem była perspektywa awansu i wyjazdów na Zachód. Kieżun tak charakteryzuje tę postgierkowską elitę: „Była klasycznym przykładem funkcjonowania patologii negatywnej fikcji organizacyjnej przez jedynie formalną akceptację komunistycznej ideologii, traktowaną jako środek do osobistej kariery życiowej, sukcesu materialnego.”

Jeszcze bardziej dramatycznie ocenił tamte czasy Prezes

Polskiej Akademii Nauk, poseł na sejm PRL, prof. Janusz Groszkowski, podsumowując je na sesji zgromadzenia ogólnego PAN 23 października 1980 r. w następujący sposób: „Wśród pracowników nauki szerzy się plagiatowanie prac, nieuctwo i nieróbstwo. Nastąpiła groźna w skutkach dewaluacja stopni i tytułów naukowych, spowodowana masowym ich nadawaniem osobom nie posiadającym kwalifikacji etycznych lub zawodowych. (...) Coraz częstsze są przypadki – z jednej strony – popierania przez docentów i profesorów, działających w organach nauki oszustów i możliwych przestępców kryminalnych – z drugiej strony represjonowanie pracowników nauki usiłujących przeciwdziałać nadużyciom. Członkom Polskiej Akademii Nauk, a zwłaszcza jej Prezydium, dobrze znane są niejedne przykłady takiego postępowania.”

W dalszej części stwierdził z rzadką wówczas pokorą: „Z obrzydzeniem myślę o najbardziej ponurym okresie mojego życia. Gdy w roku 1975 – sądząc, że będę mógł służyć Polsce i jej nauce, dałem się namówić na objęcie funkcji przewodniczącego Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu i zastępcy przewodniczącego Rady Państwa.” Pamiętam, że będąc wtedy studentem i działaczem powstającego NZS, a więc z zupełnie przeciwnej strony barykady, byłem pod wrażeniem moralnej uczciwości tego wystąpienia. Przypinaliśmy wtedy jego tekst na uczelnianej gazetce NZS na wydziale Mechanicznym Energetycznym Politechniki Śląskiej. Starzy profesorowie tylko kiwali głowami. To wtedy kariery rozpoczynali znani z czasów „pandemii” eksperci i profesorowie medycyny, a ich transformacja z młodych członków PZPR w gorliwych wykonawców zaleceń Big Farmy była sądząc po tym czego świadkami byliśmy w czasie tzw. pandemii podobnie radykalna i pozbawiona moralnych dylematów jak zachowanie oficerów PRLowskich służb wobec nowego hegemonu.

Z byłymi oficerami służb miałem do czynienia gdy próbowaliśmy w latach 1990 ratować polski handel, a oni działali jako agenci wielkich sieci handlowych otrzymujący ogromne sumy na

„zjednanie przychylności lokalnych urzędników”, z kolei w czasie blokady na Górze św. Anny pacyfikujący obrońców polskiej przyrody i polskich kolei ochroniarze wynajęci przez niemiecki Strabag i portugalską Motę nosili zomowskie hełmy. Pamiętam kontakty z urzędnikami ministerstw tamtych czasów – wszędzie uderzało absolutne podporządkowanie dogmatom wolnego rynku, uniżoność wobec zachodnich korporacji i pogarda wobec własnych współobywateli. Tak samo zachowywały się media, prokuratura, a nawet funkcjonariusze Centralnego Biura Śledczego, którzy kiedyś zaprosili mnie na rozmowę, bo nie mogli się nadziwić, że zawracam im głowę i mam coś przeciw dominowaniu krakowskiego handlu przez zachodnie sieci hipermarketów.

A „solidaruchy” miotały się w tej rzeczywistości niewiele lub zgoła nic z niej rozumiejąc. Jaki był w tym udział umysłowego wygodnictwa w myśl zasady, że trudno jest coś zrozumieć, jeżeli nasze dochody zależą od niezrozumienia tego czegoś, pójdźcie na lep korzyści w rodzaju odpraw dla szaraczków czy synekur w radach nadzorczych OFE dla baronów „Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego”, trudno zmierzyć. Nie ulega jednak dla mnie wątpliwości, że gdybym miał ambicje rządzenia Polską po 1989 roku i mógł wybierać między bankami, służbami, mediami i wymiarem sprawiedliwości z jednej, a politycznym krzykactwem w parlamencie czy nawet czasową posadę w rządzie z drugiej strony, to wybrałbym to pierwsze, to drugie przyszłoby samo jako funkcja tych pierwszych. Mógłbym kompromitować jednych i promować innych, finansować grzecznych i doprowadzać do ruiny kłopotliwych, dawać reklamy tym i bojkotować tamtych, promować nienawiść do kraju X i miłość do kraju Y. W ostateczności są jeszcze nieznani sprawcy, których działania od czasu śmierci księży Popiełuszki, Niedzielaka, Suchowolca, Zycha, zbyt dociekliwych pracowników NIK Michała Falzmanna i Anatola Lawiny oraz wielu innych nigdy nie zostały ani wykryte ani nawet należycie nagłośnione, no bo kto niby miał narzędzia i ochotę żeby tamte zbrodnie nagłaśniać, jak pisał Bertold Brecht: „nikt nie pyta, każdy zgadł”.

Na klęskę „solidaruchów” oprócz sterującego polityką i masami głębokiego państwa wpłynęły także uleganie powierzchownym emocjom, rusofobia i zrosnięte z nią zakorzenione w polskich umysłach, a teraz umiejętnie podsycane psychomoralne wytrychy w rodzaju: „jak nie Ameryka Panie, to Ruskie wejdą”, „myślenie” według zasady „kupą mości Panowie”. Wśród politycznych iluzji największą było nie dostrzeganie, że zamorska miłość wcale nie darzy ich wzajemnością, ale traktuje protekcjonalnie, a z czasem po prostu gardzi i nawet machanie narodowymi flagami oraz powierzchowną religijność elektoratu uważa za kłopot lub oznakę fanatyzmu. Taką diagnozę środowiska PiS i popierających go milionów Polaków podziela wspomniany już zauroczony komunistycznymi szpiegami amerykański dziennikarz.

Z punktu widzenia zarówno zamorskich imperialistów jak i wyznawców zwyrodniałych ideologii wygodniejszym narzędziem do realizacji ich celów są przewerbowani oficerowie komunistycznych służb, towarzysze szmaciaki, zidiociałe czytelniczki „Gazety Wyborczej” i ich progenitury, niż „solidaruchy”, wołające precz z komuną i chcące raz sierpem raz młotem walczyć z czerwoną hołotą, choć ta już dawno zmieniła barwy i cele działania. W ich budzących zażenowanie wezwaniach jest jednak pierwiastek moralnego buntu, niegodzenia się z coraz bardziej koszmarną rzeczywistością, którą definiować należy dzisiaj nie w kategoriach „walki z komuną”, ale raczej Apokalipsy lub prościej: Jamesa Bonda walczącego z dążącymi do przejęcia władzy nad światem groźnymi psychopatami.

Tak naprawdę to właśnie ten postsolidarnościowy, jednak znacznie bardziej pisowski niż peowski lud od lat głosujący na „mniejsze zła” powinien być tak samo jak resztki starych „komuchów” przedmiotem zabiegów politycznych wszelkich ruchów na rzecz rozumnej obrony wolności, prawdy, rozsądnego konserwatyzmu i elementarnego poczucia przyzwoitości. W latach 1980 ten lud został sprowadzony na manowce przez „doradców” i

stojące za nimi poststalinowskie siły. Ich przedstawiciele zgodnie z receptą Jacka Kuronia widząc, że jak mówił mają do czynienia z pędzącym rumakiem społecznego zrywu wiedzieli, że trzeba nawet za cenę bratania się z pogardzanym ludem wskoczyć na jego grzbiet, a potem powoli skierować na właściwe tory.

Nie udało się to narodowym „komuchom”, a zbitka „endokomuna” do dzisiaj pokutuje jako zamykający dyskusję epitet. Także ówczesna władza zadbała o to, by w gładkim przejściu do nowej rzeczywistości nie przeszkadzali jej jak mówili „twardogłowi” czy zbyt przywiązane do nieaktualnych ideałów „komuchy”. Najpierw pozbyto się takich działaczy jak Albin Siwak, a potem poprzez kolejne czystki, fuzje i przepoczwarczenia odsiano „komuchów”, tak by „lewica” mogła w sojuszu z wielkim kapitałem zmienić czerwień na tęczę, a ludzi pracy na idealnie miękkogłowych seksualnych odmieńców. I podobnie jak wielu nieżyjących uczestników pierwszej Solidarności, tym razem stare „komuchy” z pewnością nie przyznawałyby się do takiej „lewicy”.

Obecna odsłona polskiego politycznego teatru to nie zwycięstwo jednej frakcji „solidaruchów” nad drugą, ani nie powrót „komuchów”, których pamiętamy z czasów po 1956 r.. To wyzbyte jakiegokolwiek patriotyzmu przyczajone, głębokie antypolskie państwo uznało, że urabiane przez trzy dekady społeczeństwo dojrzało, a ono może wyjść z cienia i włączyć się w to, co wydaje się ogólnoswiatowym trendem. Uwierzyli, że dzięki nowym, opartym na technologii metodom masowej indoktrynacji i terroru, tym razem na pewno uda się „ruszyć z posad bryłę świata”. A ponieważ styl to ludzie, więc fanatyczny zapał w narzucaniu absurdów oraz totalitarny rozmach rewolucyjnych działań nie powinny dziwić.

Istnieje jednak zasadnicza różnica w odniesieniu do czasów stalinowskich polegająca na tym, że naród w ich mniemaniu okazał się nieuleczalnie ciemny i niewdzięczny, a w dodatku nadmiernie się rozmnożył, dlatego trzeba porzucić mrzonki i odwrotnie niż deklarował w roku 1950 Adam Ważyk „wyprowadzić

lud ze śródmieścia”.

Autorstwo: Olaf Swolkień

Źródło: MyslPolska.info